ROK I. № 48.

WARSZAWA. 19 Listop. (1 Grudn.) 1866 roku.



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 Złp. 12.	Rocznie . . rs. 2 k. 44 Złp. 16 g. 8.	Rocznie z kopertą rs. 4 k. 44 Złp. 29 g. 18.
Półrocznie „ „ 90 Złp. 6.	Półrocznie „ 1 „ 22 Złp. 8 „ 4.	Rocznie bez koperty rs. 2 k. 22 Złp. 14 g. 24.
Kwartalnie „ „ 45 Złp. 3.	Kwartalnie „ „ 61 Złp. 4 „ 2.	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę**: w Warszawie w Redakcyi Nr 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni Ig. Krokoszyńskiego p. ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 358, i we wszystkich kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

PRZEMIANA.

HISTORYA RODZINY NIEDBALSKICH,

powzięta z rzeczywistych przygód społecznych.

przez

F. S. Dmochowskiego.

(Dokończenie).

IV.

Ulepszenia gospodarskie postępowały coraz daléj. Po jarmarku marcowym, znowu taką samą ilość nawozu zabrano z rynku i karczmy do ogrodu na Niedbalewiznie. W dole urządzonym do ścieku z podwórza, uzbierala się także massa bardzo żyznej mieszaniny, a tém wszystkiém nawieziono nowo przybrane do ogrodu dwie morgi, nic nie biorąc ze szopy i stajni: o co najbardziéj szło Niedbalskiemu; lękał się bowiem, żeby mu żona nie zabrała nawozu na swoje nowomodne wymysły, a nie ogołociła roli przeznaczonéj pod pszenicę.

— I cóż zasadzisz w ogrodzie? zapytał się żony.

— Przybrane morgi zasadzimy burakami, kartoflisko zasiejemy jęczmieniem.

— Buraki! rzekł Niedbalski, a czy się udadzą? Jak dawno posiadamy naszą osadę nigdy nie sadzono buraków więcéj jak trzy zagony. Ileż to szlachty zawiodło się na sadzeniu buraków!

— Bo za wiele roli wzięli pod buraki, i nie mogli należycie jéj nawieźć, ani głęboko zorać, ani w swoim czasie wypléć i obsy-

pać• Radziłam się mojego ojca i on mnie zapewnił, że jeżeli się na naszym ogrodzie nie obrodzą buraki, to już w całéj okolicy przepadną do szczętu. A przytém jest nas czworo, piąta dziewucha, przynajmiémy dwie robotnice, to buraki opielemy i obsypiemy jak najlepiéj. I cóż to szkodzi popróbować?

Napokmnąć powinniśmy, że rodzice Józefy odwiedzali ją kiedy niekiedy, ale nie bardzo często. Nie nastręczali się z radą swoją; wiedzieli bowiem, że ludzie z takiem usposobieniem jak Niedbalski, nie lubią żeby kto bardzo mieszał się do ich interesów. Lecz sprawiedliwie mówi o nich nasz poeta Alexander Fredro:

Postaw się sprzecznie, chciéj własne mieć zdanie,
Lwem rozdrażnionym, tygrysem się stanie,
Lecz wynajdź nutę do jogo piosnec zki;
Jak zwyciężona wychodzi z każdé j sprzeczki,
Kręć się na pozór w jego myśli kole,
To na jedwabiu wywiedziesz go w pole.

Tak czyniła Józefa, w większych czy w mniejszych rzeczach. Lecz pole, na które wyprowadzała go na nitce jedwabnéj, było polem zacnéj i pożytecznéj pracy.

Pomyślny skutek wynagrodził usiłowania Józefy. Na jesień wykopali dwieście korcy buraków i zawiozłszy je do cukrowni wzięli za nie 150 rs. Nigdy jeszcze Niedbalski nie miał w ręku tyle pieniędzy: bo prócz owych pięćdziesięciu rubli za pszenicę, które spadły mu były jak z nieba na wydatki ślubne, największy przychód ze zboża nie był większy nad dwadzieścia rubli. Od połowy marca w następnym roku, zaczęła pani Józefa przedawać mleko na garnce, co jest najkorzystniéj. Na pół drogi między Osmolinem a Sanikami jest mała osada, w któréj mieszka staranna i uczciwa gospodyni. Namówiła ją pani Niedbalska, żeby od niéj kupowała mleko i razem z tém, co miéć może od swoich krów, zanosiła na sprzedaż do Sanik, a tam fabrykanci cukrowni rozbierali je na wyścigi. Z téj sprzedaży miała przyzwoite wynagrodzenie za drogę, która zabierała jéj dwie godziny czasu. Pani Józefa zaś, sprzedając co dzień sześć garncy mleka, zebrała za nie przez półrocze letnie 130 rs. Wprawdzie wzięła mężowi kawał łąki na pańśnik i trzeba było dokupić siana za 30 rubli; zostało jeszcze rs. sto.

— Mamy więc kochany mężu pieniądze dla jednéj z siostr naszych, jeżeliby poszła za mąż, a kto wie czy nie będzie wesela w zapusty; bo podmajstrzy z cukrowni już był u nas kilka razy i mówił do mnie onegdaj, że jeżeliby Teresa nim nie wzgardziła, to by się o nią oświadczył.

— Nie mały kłopot zdjęłaś mi z głowy kochana żono, rzekł pan Marcin. Nieraz myślałem, co ja zrobię, gdy moje siostry pójdą za mąż: gdy będę musiał spłacić ich schedę? Twoja to zabiegłość i praca zrządziła, że już nie o trzech, ale o dwóch myśléć będziemy.

— Na rok przyszły, jeżeli nam Bóg nie odmówi łaski i dobrodziejstwa swego, kochany mężu, spłacimy drugą siostrę; gdyby zaś jednocześnie i trzecią spłacić trzeba było, to wiesz, że 150 rubli przyniosłam z domu, a z nich już nam się wróciła wydana kwota na krowy; czego zaś będzie brakować, to mój ojciec nam dopożyczy. Ale trzeba podwoić pracę około roli i zupełnie inaczéj urządzić gospodarstwo. Ojciec mi powiadał, że zaprowadziwszy płodozmian, a w nim uprawę koniczyny, buraków i kartofli, utrzymując dziesięć krów dojnych, to z samego nabiału i buraków mieć będziemy co najmniéj 300 rubli rocznie, a pszenicy będziemy także niedziesięć, ale przynajmniéj pięćdziesiąt korcy przedawać.

Takie piękne nadzieje nietylko nie rozradowały pana Marcina, lecz mu zupełnie zepsuły humor.

— Bóg wie, co tam będzie, pomruknął

i zamilkł, a wkrótce potem wyszedł z izby. Nie lubił on buraków ani koniczyny; znał samo tylko trzypolowe gospodarstwo i wierzył w nie jak w Boga, jak w życie przyszłe. Sama wzmianka przemiany i podziału pól przejmowała go strachem.

Na wiosnę zatem, po zamąż pójściu panny Teresy Niedbalskiéj, panna Józefa długo naradzała się z ojcem, jakich sposobów użyć, żeby skłonić męża do przemiany gospodarstwa.

Pan Skalski ułożył plan stopniowego przejścia z trójpolowego systematu na płodozmian dwunasto-polowy. Gdy przyszło do wykonania tego planu, Niedbalski stawił tak mocny opór, jakiego nawet niespodziewała się Józefa.

— Ja się na tem nie poznam, nie trafię do końca, nie spamiętam i nie zrozumiem jak i co po czém następuje. A zresztą po co szukać lepszego, kiedy i tak jest dobrze. Od czasu, jak idąc za twoim przykładem, wziąłem się do pracy, a wyrazy te wymówił z pewną dumą i zadowoleniem z siebie samego: mieliśmy dobry urodzaj jarzyny;podoziminę uprawiłem i wczas ją zasiałem, wygląda bardzo pięknie na polu, a więc czegóż ci jeszcze brakuje?

— Koniczyny dla naszych krówek, odpowiedziała Józefa: wszakże tak nam się dobrze odpłacają? Potrzeba roli pod buraki; a wszakże pieniądze za nie bardzo nam się przydały na spłatę siostry naszéj i przydadzą się dla drugiéj i trzeciéj?

— No, to sobie siéj koniczynę i sadź buraki w ugorze albo w ogrodzie, ale gospodarstwa mojego nie przewracaj! zawołał Niedbalski zniecierpliwiony.

— Można to zrobić raz i drugi, rzekła, ale potem musi być jednostajna i systematyczna koléj, gdyż wszystko poszłoby na nic.

— Proszę cię, dajże mi pokój z twoją tam jakąś systematycznością, odpowiedział coraz to mocniejszym tonem. Nie byłem malowanym mężem i nim być nie myślę.

V.

Pierwsze to było przykre słowo, które usłyszała z ust Marcina; zamilkła i odeszła mając łzy w oczach. Nie postrzegł tego Niedbalski; bo może widok płaczu jego ukochanéj Józi byłby przełamał jego upór.

Ale już drugi rok upływał ich pożycia a jeszcze nie mieli potomstwa. W parę dni potem, przekonała się pani Niedbalska, że nadzieja od kilku tygodni powzięta, urzeczywistnia się i że niezawodnie zostanie matką. Z tą pomyślną wiadomością przyszła do męża. Tylko co wrócił z pola i wypoczywał sobie, siedząc na ławeczce przed domem.

— Kochany mężu, Bóg wysłuchał mojéj modlitwy, rzekła, przybędzie nam niewysłowiona pociecha i radość, ale zarazem nowa podniętai obowiązek do pracy. Zostanę matką:

Zerwał się Niedbalski na równe nogi, uściskał i ucałował żonę, potem ukląkł i odmówił modlitwę na podziękowanie i uproszenie błogosławieństwa Bożego, potem rzekł:

— Tak jestem szczęśliwy, tak szczęśliwy, iż wszystko dla ciedie uczynię, czegobyś tylko żądała!

— A więc, kochany mężu, rzekła ściskając go i w patrując mu się w oczy, posłuchaj mojego ojca i pozwól, niech urządzi naszą rolę na gospodarstwo płodozmienne.

— Tom się złapał! zawołał Marcin; już się teraz nie wywikłam! Przewracajcie wszystko do góry nogami; ja wam nie bębę przeszkadzał, ale pamiętajcie, że to będzie na złe lub na dobre dla dzieci naszych,

Tak więc rozbiła się, stosownie do życzenia Józefy, owa najtrudniéjsza kwestya gospodarska.

Od tego czasu, pan Skalski częstym by-

wał gościem u zięcia swego, rozporządzał zaczętą przemianą pól i musiał każdą rzecz obszernie panu Marcinowi tłómaczyć.

VI.

Tak wyłącznie zwróciliśmy uwagę naszą na główne przedmioty, któremi zajęła się nasza młoda mężatka, iż nie wspomnieliśmy o pracach pomniejszych a jednak ważnych, wiele przyczyniających się do osłody i uprzyjemnienia życia. Dom trzeba było z gruntu wyporządzić. Odłożono to do dalszego czasu i tylko ponaprawiano drzwi, progi i podłogę w głównéj izbie i walkierzu. Ponieważ staroświeckim obyczajem izby były obszerne, przeto z czeladniej odgrodzono część na komorę, a dawną komorę wyporządzono na mieszkanie dla panien Niedbalskich; z alkierza oddzieliła pani Józefa część trzecią na mały pokoiczek dla siebie, w którym miała swój klęcznik do modlenia się, szafeczkę z książkami i umywalnią. W ogrodzie niedaleko domu, było kilka lip rozłożystych; zaraz na wiosnę, Józefa własnemi rękoma przy pomocy dziewczyny służącej, zrobiła kanapkę z darni, zasadziła w około kwiatki, krzewy i wygracowała ścieżkę do przechadzki. Ojciec dostarczył jéj kilkadziesiąt szczepionych drzewek, niemi wysadziła ulicę wytkniętą przez środek ogrodu. Tyle tylko mogła uczynić dla przyjemności swojej, pośród natłoku gospodarskich robót.

W czwartym roku jéj zamężcia, najmłodsza już ostatnia z siostr mężowskich, poszła także za mąż, za jednego z mieszczan Osmolina, dobrego i zamożnego gospodarza.

Pani Niedbalska powodowana szlachetnem uczuciem sprawiedliwości, dodała każdéj z siostr do jéj działu po sto rubli, mając to na uwadze, że z nią razem gorliwie przez ten czas pracowały w ogrodzie i przy gospodarstwie domowem. „Przyłożyłyście się kochane siostry do podźwignienia naszéj chudoby, słusznie więc żebyście z jéj dochodów korzystały. Jeżeli nas Bóg ciężką klęską, gradobiciem, pomorem i nieurodzajem nie dotknie, a was dziećmi obdarzy, to jeszcze dodamy po sto rubli.

Urządzone gospodarstwo przyniosło taki dochód, jakiego sobie nawet pan Marcin nie wyobrażał, ale też przybyło im drugie, trzecie i czwarte dziecię. Mieli dwóch synów i dwie córeczki. Zwolna pozbył się pan Marcin swojéj opieszałości; lubił wprawdzie dawnym obyczajem posiedzieć i wypoczywać, ale gdy spojrzał na żonę ciągle zajętą i nie spuszczającą z oka najmniejszych nawet drobnostek, zrywał się na nogi i spieszył to do inwentarza, to w pole, albo do stodoły

VII.

Do jakiego rozwoju doszła osada Niedbalskich, w dwónastym roku po ślubie panny Józefy Skalskiej, poznają czytelnicy z dosłownego opowiadania obywatela, który mi dostarczył materyałów do tej powieści.

„W roku 1859 na S-ty Mateusz, mówi on, przyjechałem na jarmark do Łowicza. Stargowałem i kupiłem parę koni. Ich poprzedni właściciel, był człowiek w średnim wieku, przystojny, łagodnego i spokojnego oblicza. Był to ów Marcin Niedbalski. Po dobiciu targu, gdyśmy poszli na kieliszek, wina, zapytał się: z kąd jestem, a gdym odpowiedział żem z Płockiego, i że dopiero pojutrze odjadę, rzekł:

— Pan Dobrodziej musisz jechać przez Osmolin. Jeżeli to pan za stosowne uzna, odeślij kupione konie do mojej osady. Ja dziś odjeżdzam, mogę je zabrać ze sobą, a tak uwolnisz się pan od zachodów i kosztów. Będą miały wszelką wygodę i żywność.

Przystałem na tę uprzejmą propozycję, a dnia trzeciego po południu, wyjechawszy

z Łowicza, stanąłem w Osmolinie na godzinę przed zachodem słońca. Pokazano mi dom państwa Niedbalskich. Z niemałém podziwieniem zobaczyłem bardzo porządne zabudowania. W środku podwórza był kląb z krzewów otoczony kwiatami, zajazd urządzony w okół, a po jego czterech rogach były także kępy bzów akacji i kwiatów. Oddzielna brukowana droga prowadziła na dziedziniec gospodarski, gdzie postrzegłem dużą stodołę z dwoma klepiskami, a bliżej dworku szopę i owczarnię, pod jednym dachem.

Dom gospodarza, ze starych zaczernionych ośmiocalowych balów zbudowany, pokryty był dachówką. Wewnątrz domu była duża izba porządna, w niej stół i krzesła jesionowe. Za nią mniejszego rozmiaru pokój o jedném oknie, a w nim kanapa i krzesła brzozowe politurowane, na ścianach ryciny i dwa obrazy olejne; w rogu stała szafa z książkami. Gospodyni domu, osoba około trzydziestu kilku lat mająca, przywitała mię uprzejmie; w krótce nadszedł pan Niedbalski i koniecznie nalegał, żebym zanocował u niego,

,,Przystałem na to zaproszenie, tem chętniej, że widząc dom i zabudowania zupełnie odróżniające się od wszystkich innych osad i folwarków niewielkiej objętości, chciałem je poznać dokładnie. Po dobrej kawie poszliśmy do ogrodu. Zobaczyłem pareset drzew owocowych, młodych, ale już wydających owoce pasiekę z czterdziestu ulów słomiannych, kwatery przeznaczone pod rośliny okopowe, pastewne i olejne, a na nich systematycznie zaprowadzony mały płodozmian. Ogród otaczała w około aleja lipowa. Wracając do domu, postrzegłem, że pokryte i opatrzone oknami przejście, długie na łokci sześćdziesiąt łączy dom mieszkalny z szopą. Obejrzałem potem zabudowania folwarczne. Gdym panu Niedbalskiemu powinszował dobrze prowadzonego gospodarstwa, i pięknego inwentarza rzekł do mnie:

,,Wszystko to panie Dobrodzieju zawdzięczam mojej najdroższej Józi. Ona to chudobę moją wyprowadziła z ostatniego stopnia zaniedbania, ona wyciąga z niej tyle dochodu, żeśmy spłacili trzy siostry, każdą po trzy tysiące i wyporządzili budynki; ona założyła ogród i pasiekę; ale co najważniejsza Mości Dobrodzieju, ja sam winienem to mojej żonie, że dziś jestem gospodarzem i obywatelem w całém znaczeniu tego wyrazu. Byłem Niedbalskim i z rzeczy i z nazwiska: dodał uśmiechając się: ale Bóg miłościwy obdarzył mnie taką żoną, jakiéj godzien nie byłem, żoną, która mi wskazała potrzebę, pożytek i przyjemność pracy i wykształciła na człowieka.

„Nie towarzyszyła nam pani Niedbalska: bo niezawodnie przy zaczęciu téj pochwały byłaby przerwała mężowi: weszła dopiero w téj chwili, kiedy pan Marcin odetchnął po długiém i serdecznem wywnętrzeniu się. Za nią weszło dwóch chłopczyków, najstarszy w jedynastym roku życia, drugi o lat dwa młodszy i ośmioletnia dziewczynka. Ostatnie najmłodsze pięcioletnie dziecię, trzymało się fartuszka matki i dużemi oczyma spoglądało na nieznajomego.

— Przedstawiam panu Dobrodziejowi nasze dzieci, rzekła: No! ukłońcie się temu panu. Na rozkaz matki, troje starszych ukłoniło sie dosyć zgrabnie i śmiało. Dwóch synków już się uczy, mówiła daléj, mamy dobrego nauczyciela szkółki elementarnéj on przychodzi do nas co dzień na dwie godziny, żeby ich usposobił do szkoły powiatowéj w Łowiczu.

— Z tego, com widział i słyszał, rzekłem,

uznaję, że pani Dobrodziejka może posłużyć za wzór żon, gospodyń i matek.

— Wypełniam tylko moje obowiązki, a za to nie należy się pochwała, Bogu powinnam dziękować, że mnie obdarzył mężem który umiał ocenić postępowy tryb gospodarstwa i gorliwie zajął się pracą około szczupłej roli naszej:

— A wieleż państwo mają gruntu? ośmieliłem zapytać się.

— Dwie włóki ornej roli, trzy morgi ogrodu i tyleż łąki.

— I wieleż to może przynosić dochodu rocznego w tak kwitnącym stanie? Pani Dobrodziejka nie poczyta mi tego zapytania za natrętną ciekawość, lecz za chęć oświecenia się.

Zamiast odpowiedzi, pani Niedbalska pokazała mi trzech letni rachunek gospodarski, w którym był wykaz ogólny wpływów wydatków i czystego dochodu.

Ażem się zdumiał, widząc że czysty roczny dochód wynosił w jednym roku 4,000 zł. w drugim 4,500 a w trzecim doszedł do 5,200. zł.

Z miłém wrażeniem pożegnałem się z tą rodziną, ale zarazem nie mogłem oprzeć się smętnym myślom. Kiedyż to i gdzież napotkamy więcej takich gospodarstw? Kiedyż ziomkowie nasi poznają, w czem szukać powinni i znaleźć niezawodne zabezpieczenie doli swojej?

CO JEST LŻEJSZE?

(Z pism Kurzewskiego).

—Co jest lżejsze od wody?

—Pierze, mnie się zdaje.

—A od pierza?

—Powietrze.

—I na to przystaję.

—Od powietrza?

—Wietrznica.

Bardzo sprawiedliwie.

— Od wietrznicy?

Co tego, to niewiem prawdziwie.

O ognistym meteorowym deszczu.

W początkach Listopada roku bieżącego, wiele pism wychodzących w Warszawie, zapowiedziało na noc z dnia 12 na 13 tegoż miesiąca *ognisty deszcz meteorowy* i przepowiednia ziściła się rzeczywiście. Przystępne wytłómaczenie podobnych zjawisk w każdéj chwili przynosi korzyść czytającym dla tego téż podajemy je tutaj.

Przyjmujemy dzisiaj, że wszystkie ciała niebieskie powstały z tak zwanéj *materyi kosmicznéj*, prawdopodobnie z początku gazowéj a potem coraz więcéj gęstniejącéj i ścinającéj się w stałe ciała. Ta materyja, skupiając się dopiero w wielkie massy, potworzyła wiele planet podobnych do naszéj ziemi.

Stałe cząstki téj materyi, które jeszcze nie skupiły się w jedno ciało niebieskie, muszą mieć pewien ciężar, podlegają więc stale prawom fizycznym, t. j. biegną po właściwych sobie drogach, które są spłaszczonemi kołami i ani spadają, bo są przyciągane od wielu ciał niebieskich i same ku sobie ciągną; o ile więc jedne ciała niebieskie przyciągają je do siebie, o tyle inne odciągają w strony przeciwne; przez to zmuszone są do ciągłego biegu koło słońca, po wytkniętych drogach przez *Najwyższego Budowniczego*.

Podczas odbywania tych dróg prawdopodobnie okruchyte, że się tak wyrażę, są

w niewielkich od siebie odległościach. Ztąd drogę, na której je napotkać porozrzucanemi można, wystawiamy sobie jakbyw kształcie olbrzymiego spłaszczonego koła, lub pierścienia.

Otóż, ziemia nasza, w drugiej połowie swojéj drogi około słońca t. j. w ciągu tych 6-ciu miesięcy, podczas których oddala się od słońca coraz bardziéj, co wypada w czasie od 21 Czerwca do 21 Grudnia, musi bardzo blizko przechodzić od tego pierścienia, jak się tego przynajmniéj domyślamy; że zaś ziemia jak i inne planety, ma w sobie moc taką, iż wszystko przyciąga do swojego środka, więc jeżeli które z tych cząstek materyi kosmicznéj są tak blizko ziemi, że jéj moc przyciągająca wpływa już na nie, to cząstki te jako bezporównania mniejsze od ziemi, spadają ku niéj, w skutek tegoż przyciągania. Wiadomo, żejedne ciałą trąc się o drugie coraz bardziéj się rozgrzewają, a nawet zatlić się mogą; to samo dzieje się i tutaj. Okruchy materyi kosmicznéj biegną ku ziemi z trudną do pojęcia szybkością, a że ziemia, na 10 blizko mil wgórę jest jakby oblana powietrzem, więc biegnąc, trą się bardzo silnie o cząstki powietrza, rozgrzewają się, rozżarzają i przedstawjają się naszemu oku pod postacią *gwiazd spadających*, zostawiających po za sobą ogniste, chwilowe ślady.

Jak ludzie nieświadomi tłómaczą sobie to zjawisko, trudno tu opisywać. Niniejsze wytłómaczenie jest najpewniejsze i potwierdza się tém, że były wypadki, jak w oczach wiarogodnych świadków gwiazdy spadające zapalały domy, zabijały ludzi i zwierzęta, zagłębiając się potem w ziemię. Dobyte z ziemi nie były czém inném, jak tylko ciałami natury kamienistéj, gąbczastemi, stopionemi, podobnemi do zuzli żelaznych.

Waga tych *kamieni powietrznych* (aerolitów) bywa różną. Najpospoliciej wynosi kilkadziesiąt funtów, chociaż około francuzkiego miasta Tulonu spadła bryła blisko 1320 funtów ważąca. Podróżnik Pallas, zwiedzając Syberję, na szczycie gór Jenisejskich znalazł taki kamień 1850 funtów wagi mający, w Mexyku zaś znaleziony aerolit, ważący przeszło2,000 fun. przesłany już został na przyszłoroczną wystawę paryską. Odłamki tych wielkich kamieni znajdują się w muzeach t. j. gabinetach mineralogicznych, po różnych miastach Europy.

Gwiazdy spadające, zwykle brane za jedno z kamieniami spadającemi, niekoniecznie spadają na ziemię. Często dla nadzwyczajnej szybkości biegu przezwyciężają przyciągającą siłę ziemi i pomimo tego, że przebiegają przez nasze powietrze, mijają ziemię, bądź wysoko po nad naszemi głowami, bądź téż z boku i wtedy nazywają się *gwiazdami przelatującemi*. Dla tego téż nie należy się obawiać tak dalece tych gwiazd, choćby nawet ilość ich dla oka była bardzo wielką: bo mała ich liczba, i to dosyć rzadko, spada na ziemię a reszta tylko przelatuje.

Takie gwiazdy można dostrzedz prawie co noc przy pogodnem niebie, lecz około d. 10 Sierpnia i w jesieni a szczególniej koło 13 Listopada największa ich liczba daje się widzieć naszemu oku. Humboldt sławny podróżnik i uczony, utzymuje: że miljony takich gwiazd, lub jak wielu je nazywa *meteorów*, powinny spadać co 33 lat w jesieni; z tąd należy się domyślać, że ziemia nasza co 33 lat musi przechodzić przez tę samą drogę ciał kosmicznych i ściąga wtedy na siebie mnóstwo gwiazd spadających, które w owych chwilach sprawiają tak zwane *deszcze meteorowe*. Ostatni taki deszcz ognisty spadł w 1833 r.; podług więc przepowiedni Humboldta następny deszcz miał przypaść w tym roku około 13 Listopada. Jakoż w rzeczy samej przepowiednia ta sprawdzoną została, ale Warszawianie tego zjawiska nie widzieli,

noc bowiem z 12-go na 13-ty była bardzo pochmurną; dniem przedtem spostrzeżono tylko szczególny meteor, t. j. kulę ognistą koloru różowego i niebieskiego, która zaledwie na niebie błysła, i znikła. Przeciwnie w wielu miastach Europy widziano taki deszcz bardzo obfity, jak gazety doniosły, np. najbliżej nas w Gdańsku widziano po północy 251 takich gwiazd spadających, a w Londynie stolicy Anglji, i w Bruxelli, stolicy Belgii, na wiele tysięcy ich liczono.

Piękny to zaiste musi być widok, szczególniej nad morzem, ale i w umyśle naszym łatwo go sobie wystawić. Da Bóg doczekać, podobne zjawisko, podług przepowiedni sławnego Humboldta, wypadnie za lat 33, t. j. w 1899 roku. *J. Albert.*

RADA GOSPODARSKA.

Sposób zachowania jaj od zepsucia. Aby jaja nie wysychały, ani się z czasem nie psuły, zanurzyć je trzeba na chwilkę we wrzącą wodę, przez co utworzy się pod łupiną cienka na białku skórka, która jaja od zepsucia zabezpieczy.

RÓŻNE-RÓŻNOŚCI.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Z przesłanego do Redakcyi „Zdania sprawy z działań i obrotu funduszów Wars. Tow. Dobroczynności za r. 1865,“ dowiadujemy się, że pod zarządem i opieką téj wzorowej i prawdziwie pożytecznéj dla biedaków Instytucyi zostawało zakładów, jako to: domów, przytułków dla starców, kalek, sierot, czytelni, kass pożyczkowych i kass oszczędności razem 56. W nich osób korzystało z dobroczynności 17,574 Dochód Towarzystwa stanowią procenta od kapitałów własnością Towarzystwa będących, zasiłki rządowe, składki Członków i Opiekunów Towarzystwa, oraz prywatne; dalej: ofiary, kwesty i procenta od dochodu z różnych wystaw i przedstawień publicznych. Dochody te za rok 1865 wynosiły rs. 62,238 k. 28½, a wydatki na zakłady, osoby wspierane i t. p. czyniły rs. 63,821 k. 30; przeto niedostawało na pokrycie wydatków razem i za lata przeszłe rs. 6,619 k. 64½. Dowiadujemy się niemniéj, że z ogólnéj liczby wychowańców znajduje się 72 w różnych warsztatach i na służbie, którzy jednak zostają pod kontrollą Towarzystwa. Sierot było w ogóle 194; w ochronach znajdowało się dzieci wyrobników, służących, rzemieślników i t. p. razem 4,822. Niemowląt było 307. Oprócz tego Towarzystwo udziela biednym: obiady gościnne, zupę rumfordzką, lekarstwa, stypendya (opłaty) szkolne. Nadmieniamy, że instytucya ta trwa od r. 1814.

Baba z koszem. — Zabierzcie mnie, przyjacielu, wołała babina, idąc drogą i trzymając wielki koszyk w ręku.

— Za ciężko będzie już i tak zmęczonym koniom wieść nas dwoje z waszym wielkim koszykiem, odpowiedział furman.

— Nie bójcie się, odpowie babcia, ja przez całą drogę będę trzymała koszyk w ręku, to koniom lżéj będzie.

Zagadka.

Co to jest?

Ani karmi, ani poi,
Nie uzdrawia i nie goi,
Lecz pierś suszy, kieszeń chudzi,
A jest w ustach tylu ludzi!
Przytém głowę nam zawracą,
A niektórych wciąż zbogaca.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki **Nur**.

Redaktor i Wydawca **Józef Grajnert.**—w drukarni I. Krokoszyńskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.